Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. **No. 9.** Leszno, *dnia* 26. *Sierpnia* 1843.

O siedmiu pagórkach Gniezna.

(Podania ludu.)

Gniezno podobne do stolicy świata, stoi na siedmiu pagórkach; — inne miasta polskie stoją podobnież na pagórkach, i tak: Lublin, Kijów, Owrucz i t. d. Nietłumacząc mistycznego znaczenia, jakie do tego może pierwotni zakładowcy miast przywięzywali, wyliczym pagórki, na których się Gniezno wznosi: 1) *Ś. Wawrzyńca;* 2) *Ś. Piotra;* 3) *Ś. Michała;* 4) *Góra Lechicka;* 5) *Góra Jarna;* 6) *Góra franciszkańska;* 7) *Góra krzyżacka.* Na *górze Lechickiéj* wznosiła się świątynia *Lela.* Kawałki muru granitowego, w kościele Ś. Jerzego, obok tumu, są podobno szczątkami téj świątyni. Są w tym kościele karyatydy, które mylnie poczytywane za bożki starodawne, są bezwątpienia z czasów nowszych. Z téj to *Lechickiéj góry* strącono bożyszcza praojców naszych w głąb jeziora *świętego,* poniżéj się rozciągającego. Imię *Lela* i *Polela* dotąd żyje w pamięci mieszkańców; wspominają jeszcze innego bożka *Swista Pośwista,* a wreszcie i *Terum Poterum.* Jestto ostatni ślad czci dla tych bożyszczów. Nadto utrzymał się jeszcze zwyczaj na weselach chłopskich, iż gdy drużba wnosi gęś pieczoną do izby, naówczas witają go okrzykiem: „*Lelum — Polelum.*“ Inny ślad pogańskich czasów jest jeszcze, owe potoczne wyrażenie: „Siedzi jak *Ćmuk.*“ Ćmuk zaś był bożkiem granicznym (terminus), zwykle brzydko i smutnie wystawionym. Policzyć do tego należy i *dyngus* wielkanocny. W Gnieźnie utrzymują, że zwyczaj ten powstał z tego, iż król Mieczysław, niemogąc ukoić żalu białogłów rozpaczających nad stratą *Lela,* kazał na nie wodę lać i tym sposobem je rozpędzać; a ztąd pochodzić ma zwyczaj zlewania niewiast w pierwsze Święto Wielkanocne. Że tak nieraz czyni policya w Paryżu, aby rozruchy rozpędzać, wiadomo z pism publicznych; czyli i nasz Mieczysław tak czynił, nie roztrząsamy — *relata refero.* Na téj *górze Lechickiéj* stał zamek królewski i dopiero przed kilkudziesiąt laty na kościelny użytek go przerobiono. Wspominana bywa *żnińska góra;* jestto, ile się zdaje, spadek północny góry *Lechickiéj.* Na Lechickiéj górze wznosił się tum stawiany w wieku XIV. przez Jarosława Skotnickiego, którego rysunek zamieszczony jest w Wspomnieniach Wielkopolski hr. Edw. Raczyńskiego Tom II. str. 353. i w Przyjacielu ludu R. X. Nr. 2. Każden widz przyzna, ile ówczesny tum piękniejszym był od obecnego, i ile to nieraz uszkadzamy arcydzieła sztuki, chcąc je niby to naprawiać. Pomiędzy Lechicką i przyległemi górami płynęła dawniéj rzeczka *Srawa,* która dziś cała tak jest zarzucona, iż śladu jéj koryta niezostało: była to mała rzeczka, karmiona wodami z wielkich przyległych lasów, które także wyrąbane zostały. Nad jeziorem *Jelsonkiem,* a które dawniéj *Jeleniem* zwano, ciągnął się wielki las dębowy téjże nazwy.

Obok *Lechickiéj* jest góra *krzyżacka,* fundacya dla Krzyżaków Bożogrobców ze znacznemi funduszami dla pielgrzymów. Fundusze te zajęte zostały przez Władze; życzyćby więc wypadało, aby się u nas zainteressowano temi funduszami kościelnemi, które niewiedzieć na jaki użytek za granicą księstwa przeznaczane bywają, i aby wreszcie przywrócono je na użytek krajowy. Ciekawe są ślady kłótni i processów tychże Bożogrobców z sąsiedniemi klasztorami. Bywało, że i do Poznania za processami jeżdżono, a w jednym rachunku z podróży takiéj podano jak następuje: Za najem koni do Poznania 24 gr. pol., za piwo wypite z dwoma kolegami w Poznaniu 5 gr. pol. — O tym kościele krzyżackim dziwna się znachodzi legenda. Pokazują Gnieźnieńczanie na zewnętrznych murach kościoła maleńkie wydrążenia, które w znacznéj liczbie upatrzyć można; lud twierdzi, że to są ślady dusz pokutujących, które raz w rok z grobów wstają i usiłują wejść do kościoła; znajdując zaś drzwi zawarte, starają dobyć się przez mur — i suchemi palcami kościotrupów wiercą ściany; lecz pracy téj dokonać niemogą, bo kur zapieje i znowu wracają na rok ciężkiéj w grobie pokuty. I tak corok a corok się dzieje. Widzieli ludzie z miasta, jak się duchy na górze krzątały około kościoła, — wszyscy wiedzą o ich ciężkiéj pokucie i w modłach nieraz westchną za nimi. Tyle mówi legenda; lecz i rzeczywistość niemniéj poetyczna, bo te wydrążenia duchom przypisane, są to znaki kul karabinowych, któremi nieprzyjaciel zgładzał obrońców téj ziemi!

W bliskości tak[illegible]niezna są dwa szańce, czyli okopy; — jeden z nich zowie się *Gnieźninkiem,* i następne o nim krąży podanie: „Pasali na tym okopie wiejskie pastuchy swoje bydło; — jeden z nich, sierota, upuścił raz czapkę aż w samę głębią rozpadliny znajdującéj się na Gnieźninku; postradawszy czapki, zaczął niezmiernie rozpaczać, tak, że skruszył samego bi-

sa, co w téj rozpadlinie zazwyczaj przesiadywał, aby módz jakie psoty wyrządzać. Bis uniósłszy się hojnością, napełnił czapkę chłopca tynfami i wyrzucił mu ją na wierzch. Nuż sierota opowiada o dobroci bisa, nuż pastuchy zbiegają się rzucać czapki swoje, i rodziców i krewniaków, tak iżby prawie byli całą zarzucili dziurę. Bis rozgniewany zaczął im wyrzucać czapki, jednę po drugiéj napełnione suchém liściem i czém gorszém jeszcze.“ Taka sama powiastka krąży w okolicy Grodziska pod Osieczną i opisaną została przed kilkoma laty w Przyjacielu ludu. Dziwną jest ta analogia między okolicami tak dalekiemi; być może, że je przeniosł jaki wędrujący dziadek — a mieszkańcy innych okolic za swoje przyswoili je sobie. Ze imaginacya ludu naszego daleko jest żywszą i płodniejszą, niżeli sobie marzą uczeni, co z ludem nieprzestają, świadczy i Gniezno. Wszakże i ztamtąd rozszerzyły się przed kilku laty mnogie legendy, właśnie w tym czasie, gdy pod wpływem uczucia religijnego pobudziły się masy, a wiara gminu nowe wywołała cuda i szerzyła je od wioski do wioski. Nie jest pora przytaczać ich, — ale posłużą one za dowód dla psychologa, że wiara, z którą lud cuda przyjmuje, także i jego sposobić może do cudów: wszakże dość wspomnieć tych dwóch mężnych braci, którzy dopiero co zaciągnięci pod chorągwie, pierwszy raz postawieni na posterunku — i zapomniani, mimo natarczywości nieprzyjaciela, niezwątpili o obowiązku, a drogo sprzedawszy życie, legli w miejscu, gdzie skromna mogiła dotąd od rodaków odwiedzaną bywa.

E. B.

Podróż dla doświadczenia spławu Dniestrowego w roku 1785,

przez

Waleryana Dzieduszyckiego.

Okoliczności, w których znajduje się kraj nasz, nie jednemu dobrze myślącemu tę myśl podawać muszą, iż trudne w publiczności wynalezienie tych dróg, któremi idąc, skutecznie krajowi usługi, ku polepszeniu sytuacyi jego zmierzające, pełnić by można, a ztąd zdaje się, że nie jeden obywatel w prywatném życiu z utęsknieniem wzdychając, oczekuje téj pory, w któréj istotnego patryotyzmu mógłby względem kraju dopełniać zamiary. Te myśli wstrzymywały zawsze i zwalniały niejako ducha mego do funkcyi publicznych, zawsze jednak trwało we mnie stałe to przedsięwzięcie korzystania z okazyi dopełniania wszelkich usług dla kraju, gdy mnie tylko przekonanie wewnętrzne o użyteczności usług tych powoływać do nich będzie.

Kiedy bogactwa kraju każdego na wstrzymaniu wychodu pieniędzy za granicę, a na wprowadzeniu tychże do kraju przez załatwienie exportacyi najwięcéj zasadza się.

Gdy prawa nasze, zbytek tamujące, w części do tego celu zmierzając, pierwszą bogactw krajowych zasadę gruntują, druga część, to jest rozprzestrzenienie handlu krajowego, zdało mi się, iż jest przyzwoitym zamiarem dobrego obywatela.

Protekcya Najjaśniejszego Pana, a wspaniałość Najjaśniejszéj Imperatorki rossyjskiéj, otworzyła w tych latach w nowo fundowaném mieście Chersonie, takową sposobność do exportacyi produktów krajowych z Polski przez allewiacyą ceł rossyjskich, a najszczególniéj przez pozwolenie kompanii polskiéj, siedlisko w Chersonie mającéj, używania bandery rossyjskiéj, że epoka ta, która w roku jeszcze 84. w portach najodleglejszych, to jest w Aleksandryi, w mieście Marsylii, w Bajonie, pokazała okręty pod imieniem Ukraina, Polska, Podole, miasto Jampol, S. Prot, właściwe kompanii polskiéj, czyniąc najpierwszą sławę temu, który jéj dyrekcyą tak chwalebnie sprawuje (1). Przekonywa oraz narody sąsiedzkie, że naród nasz w tym wieku chce się stać przynajmniéj w industryi i handlowéj sposobności podobnym sąsiedzkim.

Część województw podolskiego i bracławskiego, że od Ukrainy, to jest części wyższéj bracławskiego i kijowskiego województwa, jest daleko odleglejszą od Chersonu, transport wozowy aż do Chersonu z tych miejsc tak byłby kosztownym, że żadną miarą z kalkulacyą kupiecką zgodzić by się nie mógł. Mają jednak też województwa drogę od natury saméj przysposobioną przez idącą rzekę bardzo spławną, nazywającą się Dniestrem. Słyszałem zawsze dawnością tradycyi ugruntowany ten przesąd, że progi kamienne, pod Jampolem będące, tak wielką są tamą do téjże defluidacyi, że na przełamanie tychże milionowych trzeba wykładów. (2)

(1) J. O. Książę Jmć Prymas Poniatowski, 1wszym aktorem był w kompanii polskiéj, do handlu wschodniego uformowanéj, i téjże jest współ-akcyonatorem, wraz z JW. Okęckim, kanclerzem wiel. koron. Doświadczywszy ciż, iż niepodobne było dobre zarządzenie interessów kompanii, gdyby wielkość akcyonatorów była przypuszczona do zarządzenia tém działem, szczególniejszéj ufności swojéj dali dowód JW. Protowi Potockiemu, staroście guzowskiemu, w powierzeniu jemu samemu całéj dyrekcyi interesów kompanii, a za tych przykładem poszli i drudzy współakcyonatorowie. Przenikłość w wyborze tak doskonałego tejże kompanii dyrektora i pełnomocnego interesów wszystkich Rządcy, czyni szczególniéj honor wybierającemu i wybranemu.

(2) Przed kilką latami doświadczając spławu Dniestru wyprawił był Jmć Pan Koziobrodzki, starosta olchowiecki, na spławach drzewa związanego z lasów swoich, mąki i różne leguminy do Akiermanu; spławy te tamże wraz z leguminami zostały.

Po nim JW. Dzierzek, brygadyer w wojsku, cztery baty przez Moskala sporządzone, z których każdy tylko 50 korcy pszenicy brał ładunku, spuścił do Akiermanu. Te jednak baty tylko do kończącego się Dniestru doszły, a przystawiony przy tychże szyper z miejsca tego odległego, jeszcze o godzin 6 od A-

Zwiedzenie jednak tych progów, przez oficerów z rozkazu J. K. Mści wyprawionych, doświadczenie moje własne, gdyż kilka razy przez też przeprawiałem się, przekonało mnie, że też niesą i niemogą być istotną zawadą téjże dyfluidacyi; chodzące nawet galery z gorzałkami do Benderu, przejście przez progi, choć nieładownym galerem, Księcia Jmci de Nassau potwierdziły we mnie to przedsięwzięcie, ażebym osobistém odprawieniem podróży przez cały przeciąg Dniestru poznał: czyli są w saméj rzeczy istotne jakowe polityczne lub fizyczne zawady nieprzełamane do tegoż handlu. Od lat tedy kilku sposobiłem się do dopełnienia tego zamiaru; między przyczynami zaniedbania téjże spławności (któréj pamięć z dawniejszych czasów tylko w historyi i w traktatach żurawinskim i karłowieckim nam pozostała) dwie najcelniejsze uważałem. Pierwszą, niedostateczność krajowych rzemieślników do budowli statków; drugą, lubo na pograniczu tureckiém, powszechną jednak niewiadomość języka tureckiego, a do komunikacyi i z tymże narodem wielce potrzebną. Przez sprowadzenie z Andolii majstrów, a przez nabycie po części języka tureckiego, te trudności załatwiłem. Ruszyłem tedy Dniestrem dnia 16. Junii w roku 1785. z Ladawy dwoma statkami mojemi, mając w kompanii szkutę wiślanną szesnastką i galerów czterech, J. W. Starosty guzowskiego, tudzież galer jeden JPana Wilamowskiego; że zaś kaiki czyli statki moje różniły się kształtem budowli swojéj od wszelkich wiślanych, względem konstrukcyi tychże niektóre szczególniejsze od innych statków różności odnotować tu zdało mi się.

Statki te, czyli kaiki, głębsze daleko od wszelkich wiślannych, bo do czterdziestu sześciu calów w ładunku wody potrzebujące; wyższe od tychże, bo na środku około dwudziestu sześciu calów nad wodą w ładunku zupełnym burty mające, w sztabie zaś i przy rudlu mają nosy zadarte, tak że w końcach obydwóch, około półtrzecia łokcia w ładunku nad wodą zadartości mają, a ztąd bezpieczniejsze od fali, któréj mocniéj doświadczać przychodziło na Dniestrze, a osobliwie w bliskości morza. Te tedy brały ładunku do 900 korcy pszenicy, oprócz sufficyencyi na niedziel kilkanaście przysposobionéj. Przed ruszeniem naszém, ażeby za przyjściem statków do Akiermanu produkta nasze były zaraz przeładowane na okręt w porcie akiermańskim, uczyniliśmy umowę z domem handlownym polskim w Chersonie, pod dyrekcyą JW. Prota Potockiego, względem przystawienia do Akiermanu okrętu.

Niesprawność flisów, od roli do żeglugi pierwszy raz wziętych, była okazyą, że statki czyli kaiki moje po dwa razy niedoszedłszy do bronicy, zarzucone były na ryń czyli piasek, ale bez szkody, bo po zlichtowaniu ładunku ruszyły, a znowu tenże ładunek miały sobie powrócone. Większego jednak przypadku doznał galer jeden JW. Potockiego, Starosty guzowskiego, bo mijając kaik mój na ryni przed Iłaszowcami osadzony, rozbił się o tenże tak, że już do dalszéj téjże drogi stał się niesposobnym, pszenica jednak wszystka wyratowana została, i tylko cokolwiek na téjże przez zamaczanie było uszkodzenia. Te jednak początkowe przykrości były nam pomyślnością dalszéj drogi nadgrodzone.

Od Ladawy aż do Michałowki dosyć bezpieczny jest spław Dniestrowy; daléj jednak idąc, to jest około Flemendy, tak jest szeroki wylew Dniestrowy, iż dla statków tak wielkiéj głębokości potrzebujących, jak wyżéj wyraziłem o moich, szczególniejszéj przezorności potrzeba i wiadomości ludzi, tę okolicę znających, ażeby około Flemendy na piasku czyli ryni niezastrzęgnąć; progi jednak kamienne za Jampolem na Dniestrze, które za nieprzebyte ładowanemi statkami były miane, bez najmniejszego ujęcia ładunku statkami wszystkiemi przebyliśmy. (3)

Od Cekinowki, a najszczególniéj od Raszkowa zacząwszy, aż do Jahorlika, gdzie kończy się granica polska, a z tamtąd aż do samego Akiermanu, tak wielka jest wąskość z jednéj strony Dniestru, a oraz tak wielka głębokość, iż właśnie od Raszkowa nietylko niemasz najmniejszego niebezpieczeństwa zastrzęgnienia, ale też głębokość Dniestru najgłębszym statkom przechód zabezpiecza, kiedy siedmiołokciowa laska ledwo gdzie gruntować może.

Od kończącéj się granicy naszéj w Jarcholiku, a zaczynającéj się po obóch stronach Dniestru, tureckiéj i tatarskiéj granicy, dwie najszczególniejsze zawady spławu Dniestrowego dały nam się poznać.

kiermanu, nieodważył się iść w odnogę, czyli Liman, ładowanemi temiż batami, ale najętemi z Akiermanu sprowadził i tamże sprzedał, a baty też pod górę na odwrót aż do Raszkowa sprowadzone.

Nakoniec J. O. Książę de Nassau-Sygen w r. 1784., dla dostateczniejszego poznania Dniestru, galerem jednym, bez żadnego jednak towaru i ładunku, szczególnie z ludźmi swoimi i przyjaciołami, spłynął od Żwańca do Benderu, w przedsięwzięciu płynienia aż do Akiermanu. Zrażony jednak ostrzeżeniem Turków tamtejszych, jakoby galary niemogły dochodzić aż do Akiermanu, z wielką szkodą i uszczerbkiem tych wiadomości, które handel krajowy pozyskałby był przez dokończenie téjże podróży, wodą z Benderu aż do Akiermanu, z Benderu lądem pojechał aż do Izmaiłowa, a z tamtąd podobnież do Stambułu. Od Żwańca jednak aż do Benderu, pilnie wypracowana mappa Dniestrowa, téj jego usługi dla dobrą powszechnego handlu pamięć uwieczni.

(3) W roku 83 i 84. JW. Dierzyk, brygadyer w wojsku koronném, czyniąc doświadczenie spławu Dniestru batami czterma, z których każdy brał tylko ładunku korcy 50. dla niedoświadczonego jeszcze przebywania progów kamiennych pod Jampolem, niechciał hazardować ładowania tychże przed progami, ale za progi nieładowane bez baty spuściwszy wszystek ładunek za progi, do tychże batów przystawiał wozami.



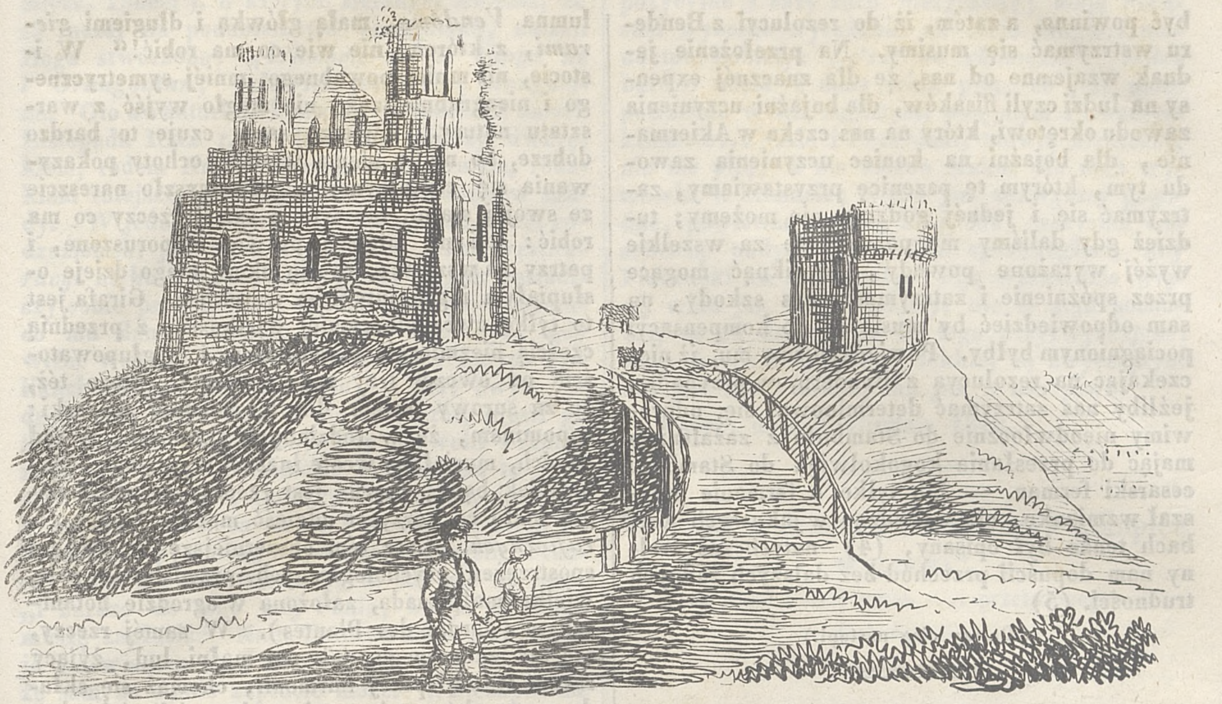
Zamek ostrogski od południa.

Pierwsza. Zacząwszy od Dubassar aż do Akiermanu samego, wielka krętość Dniestru, którego brzegi obydwa trzcinami wciąż okryte, bardzo wysokiemi, gęstemi i grubemi, tak że nigdzie niema suchego lądu, w tych zaś trzcinach niezliczona moc komarów większych daleko od krajowych, które spoczynku żadnego w nocy nikomu niepozwalają.

Ta jednak krętość Dniestru lubo jest tak wielka, że czasem dwa dni koło jednego miejsca chodzić potrzeba, łatwo mogłaby być poprawioną, a kanały małym bardzo kosztem w niektórych miejscach przekopane, dwudniową jazdę wodą, w kilka godzin przemieniłby przez połączenie kolan, czego flisacy nasi powracając próżnemi statkami doświadczyli, gdy w niektórych miejscach sami rzuciwszy się na chwilę do łopat, puściwszy wodę z kolana w kolano, kilkogodzinną drogę przez to sobie zmniejszyli.

Względem komarów zaś, które między wielkiemi zawadami tegoż spławu liczone być mogą, ile że w tygodniowéj prawie jeździe nikomu odpoczynku nie pozwalają, a przez to flisaków i wszystkich ludzi niewypowiedzianie nużą, użyty być powinien sposób w tym kraju zwyczajny, zamykania się w ramy drewniane płótnem obite, które formują na kształt skrzyni; tak zaś jest czułe nie tylko na brzegach czyli na wodzie, ale nawet na lądzie dokuczanie komarów w tym kraju, że nawet bydło i konie też o śmierć przyprawiłoby, tak dalece jest powszechnym zwyczajem, że gospodarze czyli rólnicy, podług wielości bydła przez siebie mianego, na każdą noc dla każdéj sztuki bydła, kupkę czyli pagórek gnoju osobno układają, a każde bydle powróciwszy wieczorem na podwórze swoje, nad swoją kupką czyli pagórkiem staje, a takową kupkę każdą gospodarz zapala czyli podkurza, nad którym dymem bydle całą noc stoi, dla ochronienia się od komarów.

Drugą zawadą liczyć można, wielkie fale na Dniestrze panujące, osobliwie zacząwszy od Dubassar, dla których osobliwie galery niemające przodów i zadów zadartych, tudzież mając burty blisko przy wodzie, dla niebezpieczeństwa od fali stać muszą przy brzegach, czasem kilka godzin na dzień przy najmniejszym wietrze.



Zamek ostrogski od północy.

Przeciwko téj jednak zawadzie Dniestrowéj łatwo ubezpieczyć się przez konstrukcyą statków, która koniecznie różna powinna być od wiślannych najszczególniéj względem wysokości boków i końców.

To wyraziwszy względem zawad spławu Dniestrowego od kończącéj się granicy naszéj w Jahorliku, przystępuję teraz do wejścia naszego w też granicę. — Przełożyć tu należy, iż wszystkie narody handlujące w Tureczyznie wprowadziły prawie ten powszechny zwyczaj, iż kupcy zagraniczni, handlujący w Tureczyznie, opatrzeni bywają paszportami czyli fermanami cesarskiemi.

My jednak zafundowani na traktatach, najprzód żurawińskim, a potém karłowieckim, w których handel Dniestrowy, a oraz Czarnego morza jest nam jako najuroczyściéj zabezpieczony, bez żadnego warunku wyjednywania przez handlujących takowych fermanów, niechcieliśmy w tych początkowych handlu Dniestrowego doświadczeniach stanowić żadnych takowych prejudykatów, które istotną na potém zawadę handlowi naszemu, czyli regułę przepisywałyby, bo gdy kupcy z państw tureckich szczególnie za paszportami z kraju swojego w naszym zupełną handlu wolność pozyskują, nie tylko nieprzyzwoicie, ale nawet wcale nieskładnie byłoby dla każdego Polaka, zamiar handlu na Czarne morze mającego, ażeby tenże przed ruszeniem oczekiwać był przymuszonym na przyjście takowego fermanu czyli paszportu ze Stambułu, przez co częstokroć najpiękniejszą porę w roku bezczynnie na oczekiwaniu takowego paszportu strawićby musiał.

Weszliśmy tedy w granicę turecką za paszportem szczególnie JW. Potockiego, wojewody, generała-porucznika, komenderującego dywizye rozlokowane w województwach podolskiém i bracławskiém.

Przypadkowo jednak znajdował się między papierami mojemi ferman kupiecki od 4ch lat przysłany od JP. Puhelsteina, tłumacza rzeczypospolitéj w Stambule *cum spatio vacuo*, czyli z okienkiem, do zapisania imienia podług zwyczaju kancelaryi tamtejszéj, w którém wyrażono było, iż kupiec w tymże fermanie zapisany ma wolność zupełną handlowania we wszelkich krajach państwa tureckiego.

O mil 3. od Jahorlika najpierwszą zastaliśmy jurisdykcyą turecką w mieście Dubassarach, czyli rządcę mianującego się Kajmakanem, a od wojewody Kauszańskiego dependującego, któremu oddawszy wizytę, po dobrém przez tegoż przyjęciu, gdy na zapytanie tegoż oświadczyliśmy mu, iż zamiar nasz jest iścia do Akiermanu, odpowiedział nam tenże: że w tak niepraktykowanéj liczbie statków i ludzi przepuścić nas nie może i że przejście takowe szczególniejszemi ze Stambułu rozkazami uprzedzoneby

być powinno, a zatém, iż do rezolucyi z Benderu wstrzymać się musimy. Na przełożenie jednak wzajemne od nas, że dla znacznéj expensy na ludzi czyli flisaków, dla bojaźni uczynienia zawodu okrętowi, który na nas czeka w Akiermanie, dla bojaźni na koniec uczynienia zawodu tym, którym tę pszenicę przystawiamy, zatrzymać się i jednéj godziny nie możemy; tudzież gdy daliśmy mu poznać, że za wszelkie wyżéj wyrażone powody, wyniknąć mogące przez spóźnienie i zatrzymanie nas szkody, on sam odpowiedzieć by musiał, i do kompensacyi pociągnionym byłby. Powiedzieliśmy mu, iż nieczekając na rezolucyą z Benderu, w przypadku jeżliby nas zatrzymać determinował się, odprawimy nieodwłocznie do Stambułu z zażaleniem mając do przesłania kogokolwiek do Stambułu cesarski ferman. — Jak tylko o fermanie usłyszał wzmiankę, nie wchodząc w jakowych karbach tenże był opisany, (4) natychczas wolny nam dopuścił przechód bez dalszych żadnych trudności. (5)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Girafa, rzeczpospolita małpia, niedźwiedzie, szczególna gościnność Anglika, Anglicy i Angielki w Paryżu.

Quodlibet, wyjęty z listu prywatnego.

Z dwóch giraf, które Mehmet-Ali przed kilkoma laty do Europy przysłał, jedna, dostawszy się do Anglii, stawała tam na wysokich swoich nogach i wyciągała najdłuższą na świecie szyję, szukając słońca i suchego powietrza. Było to nadaremnie! Tam atmosfera jest ustawicznie napełniona mgłą gęstą, słońca rzadko kiedy widać. Biedne zwierze padło w krótce ofiarą smutku i powietrzno-wodnego płynu, którym oddychają w Londynie. Druga nieco szczęśliwsza, trafiła na przyjaźniejszy klimat i żyje dotąd w Paryżu. Ale! (ponieważ musi się zawsze znaleść jakieś ale!) powiem że ją prosty lud mało ceni i poważa. „Piękne mi to zwierzę,“ mówią, „ta girafa z szyją tak długą jak kolumna *Vendôme*, małą główką i długiemi *gierami*, z któremi nie wie co ma robić!“ W istocie, nic mniéj powabnego, mniéj symetrycznego i niezgrabniejszego nie mogło wyjść z warsztatu natury. Zwierze samo czuje to bardzo dobrze, bo nigdy niema wielkiéj ochoty pokazywania się ciekawym; a gdy wyszło nareszcie ze swojéj stajni, nie wie w saméj rzeczy co ma robić: stoi na miejscu prawie nieporuszone, i patrzy na wszystko, co się około niego dzieje osłupiałym i głupiutyńkim wzrokiem. Girafa jest to tylko owca olbrzymiéj wielkości, z przednią częścią niezmiernie przedłużoną i z głupowatością od owczéj trzy razy większą. Może też, że za surowy jestem dla téj biednéj tułaczki; zapominam, że w rodzinnych okolicach, wśród swoich, musiałaby wcale inaczéj wyglądać. Jakkolwiek bądź, pewną jest rzeczą, że psychologia mało co korzyści odnieść może z badań *giraficznych*. Lecz tém obszerniejsze do uwag i spostrzeżeń psychologicznych przedstawia pole, wielka małp osada, założona w ogrodzie botanicznym (Jardin des Plantes). W saméj rzeczy, nic tak zabawnego, jak ten małpi lud, żyjący razem w najlepszéj harmonii, chociaż się składa z gatunków najrozmaitszych: wielkością, kolorem, kształtem, przyrodzeniem. Są one w ustawicznem ruchu, w ciągłéj czynności; skacząc, skrzecząc; już to włażąc na drzewa, już to z nich schodząc; zawieszając się na gałęzie nogami, ogonem, kołysając się i t. d. Formują rzeczpospolitę arystokratyczną, któréj Wielki Mormon jest prezydentem, czyli raczéj dyktatorem. Podług prawa natury mocniejsi rządzą i dokazują, słabsi muszą się mieć na ostrożności i skromnie się zachowywać. Gdy reiwach małych i słabszych małp, to jest pospólstwa, za nadto wrzaskliwym się staje, wtedy jaka większa małpa za zwyczaj się podnosi, wskakuje w pośrodek tłumu i kilkoma łapy wycięciami doprowadza ich do porządku i spokojności. Ale gdy Mormon psigłów z nosem czerwonym, wychodzi ze swojéj dziury, wszystkie zabawy ustają, każdy kryje się w kąt, lub też wskrabie się jak najwyżéj; a Pan Dyktator, wolnym na dole przechadzając się krokiem, na wszystkie spoglądając strony, z widocznem ukontentowaniem pokazuje zęby, których, nawiasem, nie jedna piękna dama by mu zazdrościć mogła; aż nareszcie wchodzi nazad do swego urzędowego mieszkania, zadowolniony uszanowaniem i uległością swych poddanych. Ta sama hierarchia znajduje się w społeczeństwie niedźwiedzi: najmocniejszy nad słabszemi despotyczne ma panowanie; chce pożerać sam jeden, co tylko wrzucają dla wszystkich. Drudzy nie ważą się niczego dotykać, oprócz gdy są przekonani, że tyran zmiarkować tego niemoże; inaczéj wystawiają się na nawalność policzków, jak najenergiczniéj i najdobitniéj wymierzonych.

Przejdźmy teraz do *dwuręków*, (Bimani ho-

---

(4) Ferman ten czyli paszport że był tylko na osobę jednego kupca z dwoma służącymi, wcale nie służył dla nas samych, którzy samych flisów blisko 70 mieliśmy, i w żadnym kraju nie uszedłby był.

(5) Zacząwszy od Dubassar znaczna już brzegu Dniestra jest różnica od płynącego przez Polskę. Brzegi okryte wysokiemi rozległemi trzcinami, w których najstarszych dzików liczne bardzo znajdują się stada. Do rozmnożenia których szczególniéj przyczynia się to, iż Turcy i Tatarowie nie jadają mięsa świń, a osobliwie kaczek różnego gatunku mnogość, wcale różnych od naszych. Między ptactwem jednak największego gatunku są *baby*, których stada wielkie, przechodząc statkami na Dniestrze pomijać przychodzi, a że i ciężkie do zlecenia i wcale nie płoszne, częstokroć trzech razem jeden po drugim strzelać można, nim się zerwą do lotu.

mines, Linnei), o których Béranger mniema, że są raczéj na podobieństwo orangutana, aniżeli Boga stworzone: „*L'homme est le Singe de l' Orangoutan*," człowiek jest małpą orangutana. Oto awanturka, która się w ostatnich dniach Listopada 1842 r. wydarzyła, między dwurękiem, rodem Anglik, i współrodzajowym, rodakiem tutejszéj wielkiéj 900,000 dwuręków osady. W jednéj *posilni*, (*) albo, jeżeli wyraz cudzoziemski jest wam milszy, w jednéj *restauracyi* na bulwarach, jakiś gruby Anglik zasiadłszy sobie przy stoliku, zaczął spokojnie pożerać co mu dano. Jeszcze nie był skończył, gdy wtém wchodzi Francuz, a że przy innych stolikach miejsca już nie było, a przy owym jednym sam tylko Anglik się rozpierał, prosił go tedy markier (le garçon), aby pozwolił Francuzowi przy nim się umieścić; przystał na to mrucząc pod nosem, i, skończywszy obiad, idzie do komtoaru, płaci za siebie i poséła markiera do Francuza z pytaniem, co jeszcze jeść myśli. Francuz każe mu odpowiedzieć, iż mu nic do tego; „i bardzo do tego mój Panie, bo ja za Pana muszę zapłacić." Na to Francuz zdziwiony wstaje i oświadcza mu, że go wcale o to nie prosi, że sam za siebie zapłacić może. „Niezapłacisz za siebie, boś siedział przy moim stoliku, byłeś tedy moim gościem, ruszaj tedy, jedz co chcesz i nie pytaj się o resztę." Od słowa do słowa przyszło do kpania; w reszcie Anglik zniecierpliwiony, iż mu ten tam prawa płacenia swego obiadu zaprzecza, kułakiem Francuza w łeb zwali; Francuz z bólu się potoczył, schwycił butelkę z winem i rozbiwszy ją o nos Anglika, fizyonomią mu znacznie pokaleczył; zaskarzył go tedy Anglik sądownie, i ciekawość, jak tę komiczną sprawę rozstrzygną. Możnaby prosić naszych młodych prawników, aby trochę sobie nad tém głowę łamali. Widząc tutaj tyle młodych ludzi, którzy się biorą do prawa, do administracyi, do nauk, do wszystkiego; smutno jest pomyśleć, że u nas, tak mało ich się do tego wszystkiego przykłada. Dopókiż zostaniemy w naszém zaślepieniu? Dopókiż..... ale wróćmy do Anglików. Zdaje się istotnie czasem, że ci ludzie fixacyą cierpią. Pełno ich tu grassuje po Paryżu, a każdego na pierwszy rzut oka poznać, włóczą się po wszystkich kątach z gębą roztwartą, nos naprzód wycelowawszy, wlekąc swoje Milady za sobą, a każdy z nich oryginał. Angielki bardzo ładne, twarze nadzwyczaj miłe i delikatne; widać, że to szczere i dobre stworzenia, tylko nogi trochę pozycyjne i cały ruch niezgrabny; mają Francuzi wyborne wyrażenie na takie długie i nieudatne kobiety: „*c'est un chameau.*" Jedzą bardzo wiele i dużo wina piją, co jest może potrzebne w ich mglistym, posępnym i smutnym klimacie... Ale i Francuzki, mówią niektórzy, nie źle piją, a nie można szukać dla nich wymówki w klimacie; Niebo jest zazwyczaj pogodne, powietrze czyste, kraj, lud, wszystko wesołością oddychające. Nie spostrzegłem, aby Francuzki za nadto piły. Piją wprawdzie więcéj wina jak nasze kobiety, ale to ztąd pochodzi, że od dziecka są do tego przyzwyczajone; wina bowiem krajowe, lekkie, są zwyczajnym napojem we Francyi, tak jak u nas piwo.

Paryż, dnia 2. Grudnia 1842.

(*) Mówimy posiłek, posilenie, posilny, posilić się, dla czegoż niemielibyśmy używać wyrazu *posilnia*, tak jak używamy podobnie do niego uformowane: czytelnia, gotowalnia, kąpielnia i w. i. Francuzi używają teraz *restaurant* zamiast *restauration*, który im się zdaje za długi i mało eufoniczny. Gdyby który z naszych restauratorów kazał napisać ten wyraz na swój szyld, byłby wkrótce znany i przyjęty.

Wyjątki z dramatu Szekspira: „Kupiec wenecki",

na język polski przez .... przełożonego.

(Dokończenie.)

Chór I.

Powiedźcie łaskawe nieba,
Gdzie miłości szukać trzeba,
Jestli w piersiach, jestli w głowie?
Jak się jéj opiekun zowie?

Chór II.

Z łona oczów luba wstała!
Tylko źrenicę wyssała,
I umarła — snem ujęta,
W téj kolebce powinięta,
Z cicha, z lekka, wznieśmy śpiew,
Niech się zbudzi, niech zawre krew.

Bass.: Słabą wskazówką zewnętrzna pokrywa —
Ciągle pozorem świat zwodzonym bywa.
Byłaż choć jedna sprawa tak obrzydła,
By jéj wymowa nie wzięła pod skrzydła?
Ileż to razy fanatyzmu ramię
Z otwartą blizną krwią niewinnych spiekłą,
Szatańskiéj dumy krzyżem gładząc znamię,
W pokorny mnicha kaptur się oblekło?
Bo żadna zbrodnia tak głupią nie była,
By się w sukienkę cnoty nie obszyła,
Ileż to widzisz lalek, niewieściuchów,
Mających męstwo serca zajęczego,
Z brodami Herkula, lub Marsa mściwego?
Ci piętnem męstwa grają rolę zuchów!
Zwróć teraz swoję na piękność uwagę!
Choć ta się równie sprzedaje na wagę,
Ujrzysz tu jednak inny cud natury —
Na pozór wielka — a idzie do góry!
Okrzyk podziwu budzące pięknością
Złocistych włosów zwoje, któż uwierzy?

Innéj częstokroć głowy są własnością —
Czaszka, ich mamka, dawno w grobie leży!
Tak strój jest często tą zdradliwą skałą,
Przyczyną smutnéj żeglarza przygody!
Piękną zasłoną murzyńskiéj urody!
I aby objąć w krótkości rzecz całą,
Prawdą pozorną, którą chytrze łudzi,
Czas figlarz, nawet najmądrzejszych z ludzi.
O marne złoto, twój blask mię nie nęci,
Uszów Midasa nosić nie mam chęci!
I ty, co ludzi rad kłócisz ze sobą,
Podły służalcze biały — gardzę tobą!..
Ty! który skromnéj uczynności wzorem,
Nie umiesz łudzić pochlebnym pozorem,
Tyś mi pod twoją postacią jałową,
Niemy dla innych, samą jest wymową!
Przez ciebie ja to me szczęście przezieram,
Lichy ołowiu i ciebie obieram!

Por.: Jak każda inna namiętności władza,
Gdy wszystkie źródła roskoszy wysuszy,
W straszną się rozpacz utraty wyradza,
Tak ty miłości! sfolguj mojéj duszy,
Niechciéj roskoszy przygniatać ciężarem!
Ubierz jéj z serca, bo za zbyt jéj czuję!
Więcéj nie zniosę!

Bass.: Cóż ja tu znajduję?

(Otwierając skrzynkę.)

Portret Julii! jakimże to czarem
Bóstwo się w obraz wryło tak głęboko!
Żyjesz li to oko?
Może to wzrok mój, co się kręgiem toczy,
Sprawia to życie i ten ruch uroczy!
Usta zachwytem niebiańskim ujęte,
Właśnie co pienia wyzionęły święte!
By puścić z więzów zapał méj kochanki,
Musiały słodkie roztworzyć się szranki.
Malarz dowcipny złowił pęzlem włosy,
(Bo też i one swą pajęczą siatką,
Jak pająk muchy, łowią młodzież gładką,)
Potém w złociste pozaplatał kosy,
Ale oczy! oczy!
Mógłże je widzieć? nie! to być nie może —
Byłby skradł jedno — o to się założę!
Lecz próżno słowy gonić wdzięk uroczy,
Kiedy pochwała z prawdy wysileniem,
Będzie zaledwie jego — cieniem!
Oto jest ta karta,
W któréj treść mego szczęścia jest zawarta.

(Czyta.)

Ty coś na drodze twego wyboru,
Nie dał się uwieść blaskiem pozoru,
Na tobie piekło siły wycieńcza,
A niebo laurem skronie uwieńcza!
Teraz gdy niebo szczęścia szacunek,
Zlało dla ciebie w miłości trunek,
Skosztuj go i przez wdzięczny szacunek,
Temu co kochasz, daj pocałunek!

(Całuje karteczkę.)

Pozwól usteczek, karteczko życzliwa!
Niech choć ułudą serce się rozpływa. —

(Pauza.)

Jako ten rycerz, co boju spragniony,
Rzuca się w szranki po laur przeznaczony,
I gdy zwycięzcy lud przyklaska cały,
On jeden nagłém szczęściem osłupiały,
Pyta sam siebie: „I mnież te okłaski?“
Tak ja niegodny takiéj losu łaski,
Pełen zwątpienia, nie ufam sam sobie,
Póki nie rzekniesz: „Luby! tak! to tobie!“

Por.: Dobry Bassanio, widzisz jak wyglądam,
Taką też jestem, i lubo dla siebie,
Niczego więcéj w świecie już nie żądam,
Wszelako dla ciebie
Nie raz i nie dwa, lecz dwadzieścia razy,
Co mówię, tysiąc i milion razy,
Myśląc, że się tém w twój szacunek wkradnę,
Piękniejszą oraz bogatszą być pragnę!
Chciałabym, w cnotach, rozumie, piękności,
Nieocenionéj dostąpić wartości!
Lecz całe moje szczęście razem zlane,
I w nierozdzielne jestestwo zebrane,
Jestto niewinne, bez nauki, dziecie,
A przecie
Szczęśliwe, że jest we wieku pojętności,
Szczęśliwsze, że mu nie brak na zdolności,
Lecz najszczęśliwsze, że w twe ręce, Panie!
Wylawszy całe swoje zaufanie,
Ty jak Król, jak mąż, będziesz go prowadzić,
I jak mądry nauczyciel radzić.
Odtąd wraz ze mną, wszystko, co posiadam,
Tobie i twoim, na ofierze składam, —
Dotąd téj służby, tych bogactw, tych włości,
I siebie saméj, jam była Królową,
Odtąd, to wszystko ze rządczynią ową,
Jest twojém, przyjmij z zakładem miłości.

(Podaje mu pierścień.)

Bassanio:
Nieba! twój pierścień! Pani! téj radości
Skreślić nie zdoła ma wymowa cała!
Tylko krew w żyłach wdzięcznością zawrzała!
Bo siły wszystkie objął chaos mętny.
Tak kiedy po radzie,
Na któréj Książę przemówił cnotliwy,
Zebrał się tłumnie lud jemu życzliwy,
I w całéj gwarem kipiącéj gromadzie,
Wśród pozornego ruchów przeciwieństwa,
Usłyszysz jeden tylko głos namiętny,
Głos szczęścia ludu, głos błogosławieństwa!
i t. d.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)